

Przypadek sprawił, że w dniu premiery „Wojny i pokoju” w lubelskim Teatrze im. Osterwy telewizja rozpoczęła nadawanie adaptacji wielkiej tołstojowskiej epepei. Wersja opracowana na mały ekran ciągnie się przez 20 45-minutowych odcinków, teatralny wieczór trwa nieco dłużej niż trzy godziny. Ale to właśnie tę sceniczną adaptację arcy powieści Tolstoja, opracowaną przez Alfreda Neumanna, Guntrama Prüfera i Erwina Piscatora, znaną zresztą głównie pod nazwiskiem tego ostatniego z tej racji, że on, jako inscenizator, nadał jej ostateczny kształt sceniczny, to właśnie tę wersję uznano swego czasu za znakomitą, żeby nie powiedzieć genialną.

Twórcom adaptacji udało się w sposób bardzo plastyczny przedstawić jedną z naczelnych idei epepei Lwa Tołstoja o uwarunkowaniu losów ludzkich przez historię wojen. W związku z tym z wielowątkowej powieści wypreparowane zostały dzieje miłości Nataszy Rostowej i Andrzeja Bołkońskiego. Perypetie tej pary i stojącego wciąż z boku Piotra Bezuchowa wynikają niczym najprostsze i najoczywistsze konsekwencje przegranych i wygrywanych bitew oraz wojen prowadzonych przez cara Wszechrusi i cesarza Francuzów. I dotyczy to zarówno żołnierza z powołania i dziedzicznego spadku — Andrzeja Bołkońskiego, jak i cywila „z krwi i kości” — Piotra Bezuchowa. Ale choć sceniczną wersję „Wojny i pokoju” ukazuje tylko jakiś ułamek powieściowej rzeczywistości, zachowuje coś z klimatu i charakteru powieściowej relacji. Decyduje o tym wprowadzona przez twórców adaptacji postać narratora, jak i wręcz znakomita scena bitwy pod Borodino, w której na swego rodzaju plastycznej mapie terenu sławnej batalii rozmieszczono figurki żołnierzy walczących armii i ich wodzów.

Piscator zaczął myśleć o zaadaptowaniu powieści Tolstoja dla swego politycznego teatru jeszcze w roku 1937, wtedy, gdy widmo wojny stawało się sprawą coraz bardziej realną. Ze swej sceny nie zdążył jednak przed nią ostrzec. I tym razem generalowie byli szybsi.

BOHATEROM - WYRAZY WSPÓŁCZUCIA

Temat powrócił „na wokandę”, gdy po drugiej nad światem zawisło widmo trzeciej wojny światowej.

Premiera adaptacji Piscatora odbyła się w r. 1955 w zachodniobrzezińskim „Schiller-Theater”. W rok później w Teatrze Powszechnym w Warszawie wyreżyserowała ją Irena Babel. Dwadzieścia lat temu adaptacja „Wojny i pokoju” trafiła w niepokoje człowieka uwikłanego w atmosferę zimnowojennej Europy i głęboko jeszcze tkwiącego pamięcią w epepei lat 1933—1945. Przedstawienie na scenie warszawskiej miało jeszcze i ten walor, że było manifestacją teatru nieskrępowanego rygorami naturalistycznej dosłowności.

I oto w dwadzieścia lat później ten sam reżyser przygotowuje swoją kolejną inscenizację tego, jakby nie było, historycznie obciążonego utworu. A jesteśmy dziś nie tylko dalsi od niepokoju i emocji połowy lat pięćdziesiątych, ale i bogatsi — w przypadku utworu Tolstoja — o znajomość dwóch filmów kinowych zbudowanych na tej powieści — świetnego obrazu Kinga Vidora i dwuseryjnego dzieła Siergieja Bondarczuka oraz emitowanej obecnie dwudziestuodcinkowej wersji telewizyjnej.

Relację przedstawienia lubelskiego zacząć wypada od scenografii Xymeny Zaniewskiej i Marii Irzyki. Stykamy się

z nią, zanim kurtyna pójdzie w górę. Właściwie to kurtyny nie ma. Zamiast niej mamy, zajmujący centrum scenicznego okna, obraz sceny batalistycznej. Po bokach dwa fotele. Będą w nich zasiadali — z jednej strony Andriej Bołkoński, z drugiej — Piotr Bezuchow, dwaj bohaterowie utworu, ale przecież tylko pionki, marionetki, małe figurki poruszane przez właściwie niewidocznych strategów wielkich i wrogich sobie armii. Rola scenografa jest w tym przedstawieniu, powiedziałbym, dyskretna, sprowadza się do stosunkowo niewielu działań, ale ta oszczędna dekoracja oczyszcza teren z wszystkiego, co mogłoby przeszkadzać opowieści o wojnie i pokoju.

Na ten teren wchodzi reżyser Irena Babel. Komponuje sceny. Próbuje możliwie jak najjaśniej wyeksponować ową zasadę związku ludzkiego losu z historią wojen. Ale nie wszystko sprawdza się w scenicznym działaniu.

Przedstawienie ma niewątpliwie interesującą rolę Piotra Bezuchowa. Kazimierz Siedle-

cki wyposażył ją w wewnętrzne ciepło, jeszcze bardziej podkreślające rozdarcie z jednej strony między wiernością ideałom rewolucyjnego bonapartyzmu i protestem wobec zaborczych wojen Cesarza Francuzów, z drugiej — między pogardą dla samodzielnia cara i obroną jego państwa. Jest tu także do odnotowania rola Andrzeja Bołkońskiego. Gra ją Henryk Sobiechart, oraz rola Marii, siostry Andrzeja, w wykonaniu Barbary Koziarskiej. Jest wreszcie Natasza Rostowa Elżbiety Skretkowskiej, bardzo prościutka, momentami, zwłaszcza w scenach przed zerwaniem z narzeczonym, wręcz urzekająca. Szkoda tylko, że aktorka przez cały czas gra ją na tej samej i jedynej strunie, choć przecież w finale przedstawienia, gdy Andriej Bołkoński choruje z powodu odniesionych ran, a potem umiera, Natasza jest już bogatsza o wielkie doświadczenia życiowe.

Przedstawienie lubelskie jest dość nierówne aktorsko. Jest tu kilka słabszych ról, wśród nich — niestety — bardzo ważna dla antywojennej wymowy rola Narratora (Krystyna Wójcik). W żadnym razie nie aranżuje on „opowiadania dla sceny”. Jego komentarze zdążeń, które oglądamy, są suche jak dobre wycudzona lekcja. W związku z tym zbyt silnie eksponuje się wątek Andrzeja Bołkońskiego — Natasza Rostowa — Piotr Bezuchow. Przyznać należy — dość melodramatyczny po wypreparowaniu go z powieści.

Silą teatru Piscatora, walorem jego adaptacji „Wojny i pokoju” jest agitacyjna dynamika. Lubelskie przedstawienie przejrzyście w kompozycji, ma klarowny wywód idei naczelnej, że człowiek w swym działaniu zdeterminowany jest przez historię. Gotowi jesteśmy współczuć bohaterom, że los tak srodze się z nimi obszedł, ale spektakl nie jest antywojennym apelem. A w założeniu być nim powinien. Brak mu nerwu agitacyjnego. Ukazuje on obraz widziany jakby z dystansu. Część odpowiedzialności spada za to na barki teatru, częścią należy obciążyć czas, który upłynął od prapremiery z roku 1955. Jego działanie omija natomiast samą powieść, w której każde pokolenie znajduje swoje sprawy, odkrywa nowe znaczenia i nowe uroki z obcowania z utworem Lwa Tołstoja. Inne w roku 1955, inne dziś. Najświeższym dowodem jest telewizyjny serial, który na dwadzieścia tygodni przykuł uwagę paru milionów ludzi w naszym kraju.

M. ZINOWIEC

Andrzej Bołkoński — Henryk Sobiechart, hrabina Rostowa — Zofia Stefańska, Mikołaj Rostow — Andrzej Rzechowski i Natasza Rostowa — Elżbieta Skretkowska

